№ 23. Warszawa, dnia 6 Czerwca (25 Maja) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń. Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Był to zaś „jour fixe" panny Smieńskiej, ustanowiony w zimowym sezonie na wzór panującej mody.

Odprawić zatem Hubicza nie wypadało, aczkolwiek byłaby wolała, bo jej się już całkiem naprzykrzył i zużył, bo zresztą w podtrzymywaniu z nim stosunków już nie widziała dla siebie ani chluby, ani przyjemności; a nadomiar wszystkiego czuła, że dawnem postępowaniem mogła zupełnie inne obudzać w nim nadzieje, i to sprawiało jej niesmak wcale nieprzyjemny.

W tej chwili przeto zapragnąwszy okazać mu przynajmniej jak można natręctwo, rzekła przy powitaniu:

— Czy pan ma jaki interes do mnie?

Hubicz zrozumiał, ale przykrość zdołał pohamować. I odrzekł:

— Nie, nie, pani. Chciałem tylko panią zobaczyć.

— Nie przedstawiam przecież dla pana nic nowego ani ciekawego.

— Kto to wie, pani, kto to wie?

Tu już brzmiała w jego głosie wielka gorycz. Ale ona tak łatwo znajdowała powód do wesołości.

— Być to może? — podjęła tedy ze śmiechem. — Dopiero spojrzawszy bystro w jego twarz, poczuła, że lepiej badań w tym tonie pochać.

Hubicz zaś, jakkolwiek chciał ją widzieć, wcale nie patrzył. Swemi głęboko osadzonemi oczyma, które miały wielką zmienność wyrazu i dar niezmiernie szybkich poruszeń, rzucał dokoła i niespokojnie chodził po pokoju.

Ada miarkując jego wzburzenie, siadła tedy na konika, którego „dosiąść" było najłatwiej i rzekła:

— A cóż z pana dramatem się dzieje? Bo za ostatnią bytnością nie zapytałam

— Nie dziwię się, nie dziwię! — porywczo przerwał Hubicz

Po chwili wszakże nie mógł się oprzeć temu, co go szczerze porywało.

— Mój dramat — mówił, — rośnie, olbrzymieje... Ale to człowiek duszę przepala przy takiej pracy! Można życie dać za dzieło, a potem wsadzić je w piec. Kto wie, może i ja wszystko spalę!

— A to co znowu? Dlaczego?

— Hm, dlaczego? — powtórzył Maryan, przysiadłszy, lecz głową ciągle zwrócony w bok, a wejrzeniem w przestrzeń. — Czy to człowiek zna odpowiedź na każde „dlaczego?" Dlaczegóż człowiek marzy, potem się zawodzi? Dlaczego w niebo wzlata, potem się rozbija? Dlaczego silnie wierzy, jednak zwątpić musi? I czemu bardzo kocha, a w końcu pogardza?

Ada cicho się podniosła.

— Jest pan w natchnieniu, niech pan pisze— wyrzekła, ołówek i papier przed nim kładąc.

Maryan spojrzał na nią przez mgłę zadumy. Lecz w momencie świadomość się w nim ocknęła.

— Nie! ja nie ze wszystkich polotów ducha i bólów serca wyciągam zyski! — odparł szorstko, i kartę poszarpaną cisnął.

Ada spojrzała zdumiona.

— „Ten mazgaj się unosi?... To świetne! — pomyślała.

— Teraz to wierzę, iż dramat może znaleźć się w piecu — wyrzekła głośno. — Ale w chwilach, gdy poeta chce szaleństwo popełnić, matematyk powinien go przekonać, że suma kroków szalonych zwykle daje rezultat, którego się potem żałuje.

— Lecz poeta i matematyk wie znów, że kroki nadto subtelnie wyrażone, za podstawę i rezultat często mają tylko zero wartości moralnej — powiedział on jak przedtem porywczo.

Wnet jednak zatopił rękę w swych zwichrzonych włosach, jakby z myślą: „co ja mówię! co ja czynię!" i począł wybuch śmiałości łagodzić.

— A pani co studyuje? Co z rzeźbiarstwem i rysunkiem? Nic teraz nie wiem, stokroć mniej niż dawnemi czasy, choćiem tak blizko! — dorzucił z wyrywającem się rozżaleniem.

Ada wszelako była obrażona, i tylko nogą stukała miarowo w dywan. Dopiero zmiarkowawszy, iż nie należy milczeniem przyznać, że zwrot o zerze wzięła do siebie, rzekła:

— Najświeższe moje rysunki, a raczej malatury ot tam! w kącie.

— Krajobraz z natury pani zarzuciła?

— Zima.

— A w lecie na wsi?

— Leżałam na trawie.

— Nie malowała pani wcale?

— Farby zostały w Warszawie.

Hubicz poznał ze zwięzłości i tonu jej odpowiedzi, że się uraziła. Lecz czemże było to, co ona czuć mogła, w porównaniu z tem, co jemu szarpało serce?

Napowrót mrużył oczyma i po pokoju chodził.

— Jednak, jak pani ogromnie się zmieniła przez te trzy lata! Ach, jak pani się zmieniła!— z westchnieniem wyrzekł.

— Zdaje się panu. Bo wówczas przyjmowałam wszystkie pojęcia i poglądy, jakie mi pan podsuwał, a dziś wytworzyłam swoje — odparła nieco rozbrojona.

— Jakie? Jakie?

— No, odrębne, własne.

— „Żadne" niestety! — pomyślał Maryan. I w ruchach zawsze zwrotny i żywy, podszedł do kąta, gdzie stały dwa niewielkie blejtramy, płótnem obite.

— Kopie z jakiegoś oklepanego, nędznego wzoru? I co pani po tem? Co pani z tego przyjdzie?

— A co ma przychodzić? Dziwię się tak prozaicznemu pytaniu w ustach poety. Nie wierzy pan w rozkosze artystyczne?

— O, tu nie! nie!

Ona uśmiechnęła się, głową potrząsając.

— I ja, nie, — półgłosem rzuciła.

Hubicz odstawił malowidła i z założonemi rękami stanął przed nią.

— „Być czemś," pani, „być czemś," czy pani i to hasło z przed lat trzech zastąpiła nowem? Bo jednak ja nie widzę żadnego jednolitego programu w czynnościach pani, żadnej myśli przewodniej. A wówczas zdawało się, że pani tak rozumie i uznaje, że *być czemś* rzetelnie, uczciwie, naprawdę, choćby w cieniu i cichości, to więcej stokroć znaczy niż na świeczniku być.

— Sobą? — dokończyła ona półżartem.

— Sobą? — ze zdumieniem powtórzył Hubicz, natężając uwagę, bo w tej chwili równoważyło się to w umyśle jego z „być niczem," a to przypuszczenie mózg rozsadzało.

— Tak, sobą rzecz prosta; bo czemkolwiek się jest, sobą jest się przecie zawsze — tłómaczyła Ada, powstając na odgłos rozmowy w przedpokoju, co zwiastowało gości.

Jakoż weszła Julia z Helą, która rzadko pojawiała się teraz w dawnem gronie koleżanek.

— Chcemy powodzenie zapewnić twemu „jour fixe" — oświadczyły, zapowiadając inne znajome. I poczęły się trzepotania.

Hubicz zaś, słów kilka powitalnych zamieniwszy, siadł na boku zadumany.

— „Być sobą? Co ona przez to rozumie? Być czczą ułudą, bez serca, bez duszy, bez treści, być gorzej niż puchem marnym, bo zwodniczym, i nie czuć tego! z żartem się przyznawać!" — myślał, tonąc w jakiejś okropnej matni rozdzierających żalów i goryczy.

— A pan gdzie był tego roku w lecie? — nagle zaczepiła go Hela.

Hubicz obudził się i przez żywość wyobraźni całą siłą odrazu się przerzucił do wspomnień wywołanych.

— Byłem na wsi — odparł szybko. — Ja nie mogę przeżyć roku bez tego, bym wsi nie widział, choćby krótko.

— Pan tak lubi sielankę? — wtrąciła Ada.

— Nie, ale kocham przestrzeń, swobodę i prawdę w przyrodzie, prawdę! Muszę co jakiś czas zatopić się w polach, w łąkach, w lasach, w tych obszarach bez granic, gdzie nie rozbija się na każdym kroku mój wzrok i słuch, gdzie nie ma fałszów... Muszę, bym nie stał się wołem chodzącym w jarzmie, z zakutym mózgiem i tępem okiem. Nie mogę bez tego istnieć, jak bez patrzenia choć czasem w gwiazdy.

— W gwiazdy?

— Firmamentu, nie ziemi — pospieszył objaśnić.

I widać przez reakcyą, po zgnębieniu jakiego doświadczał, orzeźwiawszy, wpadł w zapał.

— Tak, gdy w nocy patrzę na niebo gwiazdami usiane, czuję nieskończoność — mówił, — ale czuję tak silnie, tak niezachwianie, że nie mógłbym wątpić o istnieniu duszy, bo ona wtedy wyrywa się ze mnie, wypływa i zlewa się, stapia w jedność z tym nieśmiertelnym światem pozaziemskiego istnienia.

— Pan wierzy w nieskończoność, w nieśmiertelność — skwapliwie zapytała Julia.

— Odkądże to? Bo dawniej... — zaczęła Ada.

— Tak, dawniej było inaczej, ale dziś wierzę. Wierzę od chwili, gdy moja własna dusza poczęła rozsadzać ciasne obręcze pozytywnej wiedzy. Gdy wszystko zgłębiwszy, co daje nauka, poczęła jeszcze dziesiątki pytań stawiać, na które nie znalazła odpowiedzi, i pytaniami temi sama biedz i sięgać w nieskończoność. Bo jużciż nie mogę własnym moim duchem zaprzeczać tego, co tenże duch czuć i pojmować zdolny.

Ada milczała, błąkając się myślą na podobieństwo ptaka, który nie wie jak puszczać się w przestrzeń, gdy mu drzwi otworzą, wychowawszy pośród krat ciasnej klatki.

Hubicz zaś myślom swym ze wszystkiem oddany, żywo chodząc po pokoju przystanął i dodał jeszcze:

— Zresztą przyszedłem do przekonania, że wprost przez loikę musi być jakaś istność pozagrobowa, bo bez tego życie tu na ziemi nie miałoby celu i zasady; i te wszystkie męczarnie jednych, a te orgie innych, takie straszne różnice między jednakimi ludźmi byłyby takiem czemś potwornem i wprost mądrości ogólnego ustroju przeciwnem, że poprostu istnieć to w harmonii świata by nie mogło.

Tu zapanowało milczenie.

Julia spoglądała na Helę, od niej wyczekując zabrania głosu. Wszystkie albowiem studya nad psychologią tak jej zapełniły głowę formułkami o percepcyi, kojarzeniu się wyobrażeń, o świadomych i nieświadomych przejawach duszy, iż zaskoczona tem, co wygłosił Hubicz, nie wiedziała, co rzec, gdy nie o sam aparat funkcyi onej duszy chodziło.

Panna Bończuk zaś po namyśle machnęła ręką.

— Ach, ta dusza! — wyrzekła z pewnem zniechęceniem. — Jużciż polot jej bywa nieograniczony, olbrzymi w jednostkach genialnych, lecz w idyocie dusza zredukowana do prostej siły żywotnej jak w zwierzęciu lub roślinie; więc chyba nieśmiertelność jej utożsamić jedynie z tą siłą życia, przetwarzającą się w objawach, a wiekuistą we wszechświecie. Zabazgrano rozprawami nad tem już tyle ksiąg i foliałów, bez rezultatu.

— Ale z potrzeby—żywo przerwał Hubicz. — Bo człowiek znajduje się wobec takich zagadek w samym sobie, w swem istnieniu, tyle słyszy głosów prących w różne strony, że rozbija się, rozbija na ślepo, i wówczas dopiero głową o mur bić przestaje, gdy umie wzrokiem i myślą wznieść się i zatonąć.

— Znów w gwiazdach firmamentu? cha! cha!— roześmiała się Ada.

— A tak, w tych słońcach bez plam! — dokończył Hubicz zwolna, i napowrót pogrążył się w zamyśleniu.

— Bez plam, to złudzenie optyki — orzekła panna Bończuk.

Towarzyszki na boku poczęły tymczasem coś szeptać i oczyma ku sobie mrugać porozumiewająco.

— Panie Maryanie, a co dzieje się z Felicyą? — wkońcu zagadnęła Ada.

— Panna Felicya ma miejsce w administracyi jednego z pism — odparł Hubicz, zrywając się, jak człowiek, który czuje, że łatwo może być wyśmianym za swą zadumę i roztargnienie.

— I tak bardzo zajęta, że nie ma czasu nawet przyjść do mnie, opowiedzieć, co poczyna ze sobą? — z przekąsem wtrąciła Ada.

— Czyż pani tak wiele na tem zależy? Czyż tak wiele?—głową potrząsając zapytał Hubicz.— A istotnie, panna Felicya zajęta od dziesiątej zrana do szóstej. Wieczorem zaś daje korepetycye.

— Podobno pan wyszukał jej to miejsce? — odezwała się Julia.

— Podobno znalazł pan w niej mnóstwo przymiotów ciała i duszy! — wtrąciła Ada.

— Charakteru i serca — poprawiła Julia.

Hubicz znów w ruchu po pokoju, przystanął i bacznie nasłuchiwał chwilę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Poetka ludowa.

W roku 1893 pismo włoskie „L'illustrazione Popolare" pomieściło szereg utworów poetyckich, podpisanych nieznanem dotąd zupełnie nazwiskiem: Ada Negri. Utwory te wzbudziły w literackim świecie włoskim niesłychane zajęcie, podziw, uwielbienie, i na debiutującą w ten sposób autorkę zwróciły uwagę całego czytającego ogółu. Z punktu widzenia czysto artystycznego nie były to rzeczy bez zarzutu, ale uderzały oryginalnością, siłą wyrażenia, głębią niewyrozumowanego ale odczutego pessymizmu. Ze świata pracy i nędzy, tego posępnego świata, nad którym niebo nigdy nie jaśnieje błękitem, gdzie istnienie jest ciągłym, nieustającym trudem, a śmierć przejściem do głuchej krainy zapomnienia, z tych mroków rozpaczliwych czerpała autorka motywy do swoich pieśni, drżących bólem, skargą, oburzeniem. Dziecię ludu, ona zna świat ten, stanowi cząstkę jego.

Gorzki chleb trudu i łez spożywała od dzieciństwa. Nie dziw, że prawdą i bólem dojmującym dźwięczą jej strofy.

Ada Negri jest córką robotnika. Dzieckiem była jeszcze, gdy ojciec jej umarł w szpitalu, w Medyolanie. Byt swój i wykształcenie zawdzięcza niezmiernym wysiłkom matki. Uboga ta kobieta przez lat czternaście pracowała ciężko w jakiejś fabryce w Lodi, najpierw by utrzymać siebie i córkę, potem, by zdobyć dla małej choć trochę światła. Zdolny umysł dziewczynki nie wymagał wielkiego nakładu. Rozwijał się prawie bez pomocy i opieki. Czytaniem zastępowała Ada braki systematycznego wykształcenia, z łatwością przyswajając sobie wszystko, co o myśl jej potrąciło choćby przelotnie. Wreszcie zdołała wydobyć się na stanowisko nauczycielki wiejskiej w Motta Visconti nad rzeką Ticino, dokąd na parę lat przedtem wraz z matką przeniosła się z Lodi.

Uboga nauczycielka strojem nie wyróżniająca się od wieśniaczek, w sabotach udająca się codziennie do szkoły, by malców wiejskich uczyć abecadła, tutaj zaczęła pisać. Tu powstały pierwsze jej utwory drukowane w „Illustrazione," a następnie wydane w zbiorku pod ogólnym tytułem „Fatalità."

Zbiorek ten rozpoczyna się wierszem, który tu w przekładzie prozą podajemy:

„Dzisiejszej nocy ujrzałam przy łóżku mojem postać okropną, o spojrzeniu płomiennem, ze sztyletem w dłoni. Lęk mnie zdjął.

„A ona rzekła: Ja jestem niedola. Dziecię które drżysz przedemną, wiedz, że nie opuszczę ciebie nigdy. Czy iść będziesz po drodze cierniem, czy kwieciem usłanej, ja zawsze będę z tobą.

„— Odejdź — szlochałam. Ale ona stała nieruchoma tuż przy mnie, i mówiła: — Tak napisano tam, w górze. Będziesz cyprysem, będziesz kwiatem grobów, kwiatem wyrosłym na śniegu, kwiatem czarnym, może kwiatem złego.

„Zerwałam się z okrzykiem: Zostaw mi nadzieję. Mam lat dwadzieścia! Pragnę świętych wzruszeń miłości, pragnę światła! Pragnę wedrzeć się na wyżyny ducha! Niedolo ponura, odejdź!

„A ona odrzekła: Wyżyn dosięga ten tylko, kto podnosi cierpiących, tych, co są potem i krwią i łzami oblani. Boleść tylko daje myśli wzlot ku niebu. Ten tylko zwycięża, kto walczyć ma odwagę.

„Wtedy odpowiedziałam: Zostań!"

Po wyjściu tego pierwszego tomiku, Motta Visconti stało się miejscem pielgrzymek literacko-artystycznego świata. Ada Negri raz poraz przyjmować musiała odwiedziny entuzyastycznych swoich wielbicieli, pragnących poznać młodą, utalentowaną poetkę. I w losach jej zaszła zmiana. Carducci wziął ją w opiekę swoją.

Towarzystwo Literackie w Medyolanie wyznaczyło jej pensyę roczną, rząd pod naciskiem opinii publicznej mianował ją nauczycielką literatury w jednej ze szkół normalnych, żeńskich w Medyolanie.

By tę historyę, zakrawającą na bajkę, zakończyć w sposób, w jaki mniej więcej wszystkie bajki kończyć się zwykły, dodamy, że w Styczniu roku bieżącego, między panną Adą Negri a bogatym przemysłowcem z Medyolanu zawarty został związek małżeński, będący dla sfer literackich miasta wypadkiem niepospolitej doniosłości.

Na tem kończą się dotychczasowe dzieje kobiety, ale nie dzieje jej twórczości. Na krótko przed ślubem wydany został drugi tom jej poezyj zatytułowany „Tempeste."

Zanim zapoznamy się z nim, pozwólcie czytelnicy przypomnieć sobie, że dzieje literatury naszej zapisały na swoich kartach opowieść dziwnie podobną do historyi losów Ady Negri.

...I ona była ubogą nauczycielką wiejską, żyła z matką w lichej wiosce, odciętej od świata, znosiła nędzę, i ona miała gorącą duszę poetki w piersi, tylko... epilog bajki naszej brzmi inaczej...

„Cyt me serce, cyt już, cyt!
Skrzepła krew już twoich ran,
A nim nowy błyśnie świt,
Wśród grobowych uśniesz ścian."

Wróżyła sobie ta smutna, a wicher jesienny wstrząsający ścianami chaty, wtórował ostatnim jej marzeniom.

I wywróżyła.

Przed Adą Negri otwarta przyszłość pełna najświetniejszych obietnic, tamta umarła z wycieńczenia—z głodu poprostu.

Czytelnicy domyślają się zapewne, że mówię o Maryi Bartusównie.

Ale powróćmy do Ady Negri. W zbiorze p. t. „Tempeste" brzmią te same tony, co w „Fatalità," tony głębokiej skargi nad niedolą upośledzonych, wydziedziczonych, odsuniętych od biesiady życia. Wdowa z głodnemi dziećmi, starzec po życiu pracy konający samotnie na tapczanie szpitalnym, dziecko wątłe, blade, z którego powoli wysysa życie duszna atmosfera warsztatu, dziecię-woltyżerka cyrkowa ginąca w męczarniach dla zabawy gawiedzi, oto postacie, które występują z kart tej książki, dziwnie wyrazisto niby w oświetleniu krwawej łuny jakiejś, i głosem wielkim upominają się o krzywdę swoją. „Pożar w kopalni," „Bezrobocie," „Przytułek nocny," „Na bruku," są to sceny i obrazy, które najżywszemi barwami namalowała poetka. Oto na zakręcie ulicy zastępuje jej drogę smutny orszak. Wózek wiezie rzeczy ubogiego wyrzucone „na bruk." Robotnik, żona jego, dwoje dzieci drobnych postępują za tym wózkiem z niemą rozpaczą. Ci ludzie nie mają żadnego planu przyszłości, nie wiedzą, gdzie udać się, są „na bruku." Zimny deszcz jesienny pada, i moczy poniszczone sprzęty, podarte łachmany. „Ah, jakiż okropny wyraz ma ta nędza cała!" — powiada poetka, i w dalszym ciągu woła namiętnie: — „Przeklęta bądź miłości, która zaludniasz izdebki ubogie! Niewolnico głodna, blada, ty nie masz prawa do pocałunków, do miłości, która daje życie nowym ofiarom nędzy!"

Mimo gorącego odczucia krzywd i niedoli społecznych, poetka nie jest rewolucyonistką.

„Serce moje płacze nad tymi, którzy znoszą głód, ucisk i upokorzenie, a nie zaznali nigdy spoczynku ni radości.

I nad tymi, których spotykała tylko niechęć i pogarda, a którzy w zamian nie płacili nienawiścią.

Nad tymi, którzy widzieli, jak dla innych dojrzewały kłosy, a nie przywłaszczyli ich sobie.

Nad tymi, których policzkowała niechęć ślepa i potężna, a oni nie zabili.

Nad tymi, którzy szli ku zapomnieniu wiecznemu śród mrozów i skwarów, bez odzieży, bez chleba, bez światła, a którzy przecież nie przestali wierzyć w Boga.

I nad tymi, którym przez całe życie barłóg był posłaniem, a siennik szpitalny ostatnią pościelą, a którzy umierali z miłością w duszy."

Śród tych myśli i obrazów przewijają się tu i owdzie wspomnienia smutnego dzieciństwa poetki, bezsennych nocy spędzanych na wązkiem, twardem łóżeczku, ubogich izdebek, których jedyną ozdobę stanowiła doniczka kwiatów, pieszczot matki, jedynego szczęścia jakie było udziałem tej dzieciny.

Wylewy liryzmu potężne, szczere, świadczą, że Ada Negri prawdziwą jest poetką. Młoda, blada, o głębokich ciemnych oczach, pochylona, niby pod tchnieniem burzy, której przyjście przeczuwa, a którą radaby zażegnać, nie chce słuchać szeptów miłosnych, lęka się, by nie zwróciły jej z drogi, po której iść jej przeznaczeniem, a jednak... miłość marzona taka jest piękna.

„Ale już wzbiera fala skarg, jęków boleści, okrzyków gniewu. Ludzkość głucha na te głosy; nad światem cisza jak przed burzą. A fala wznosi się coraz wyżej i wyżej, coraz groźniejsza, tamy granitowe nie wstrzymają jej, jutro, dziś może zaleje ziemię. Chwila to wielka, chwila przesilenia. O potężni, o silni! poryw miłości bezmiernej mógłby powstrzymać ten rozpaczliwy prąd jęków i klątw. O, zwycięzcy! pójdźcie naprzeciwko zwyciężonych, otwórzcie im ramiona na znak miłosierdzia."

Zarzucano Adzie Negri, że twórczość jej w zbyt ciasnem zamknęła się kole. Spodziewano się, że w drugim tomie jej utworów „jęk ludu" nie będzie już nutą główną. Przeciw temu zarzutowi broni ją w ostatnim zeszycie „Deutsche Rundschau," gorący zwolennik talentu młodej Włoszki i tłómacz niektórych jej poezyj na język niemiecki, sławny nowelista Paweł Heyse. „Więc żądacie — powiada, — by wraz z poprawą osobistych warunków bytu, umilkły jej sympatye dla cierpiących i nieszczęśliwych? Czy w takim razie wszystko, co napisała dotąd nie wydałoby wam się kłamstwem, pozą? Czy moglibyście uwierzyć kiedykolwiek w jej szczerość?"

Nie należy obawiać się—twierdzi sprawozdawca „Revue des Revues," — by muza Ady Negri

popadła w jednostronność. Na strunach jej słychać te same dźwięki, które wydobywały się z pod palców najpotężniejszych liryków włoskich.

Są tam i okrzyki namiętne w rodzaju „Italia! Italia!” Filicaja, i beznadziejne smutki Leopardiego, i ironia Giustiego i potężny sarkazm sławnego hymnu do szatana Carducciego—niemniej wszystko to jest jej niezaprzeczoną własnością, nie naśladownictwem jałowem. Oryginalność, siła, zapał, gorąco uczucia, oto najwybitniejsze cechy jej talentu. Przy skarbach tych pieśń jej nie może stać się monotonną.

H. C.

SZKOŁA A ŻYCIE.

EPIZOD.

Niezdrowy, a może z innych względów niepomyślny, jakiś okres czasu wmięszał się w to dziesięciolecie, po którem naznaczyli sobie ową pierwszą koleżeńską schadzkę. Z pięćdziesięciu dwóch tchnących zdrowiem i siłą postaci młodzieńczych, dwudziestu ośmiu ludzi dojrzałych stawiło się dzisiaj na dzień i godzinę oznaczoną w bocznej alei ogrodu.

A reszta? zapytacie.

Z resztą stało się to co się dzieje z całem wielkiem mrowiskiem ludzkiem. Jednych pokryła ziemia, przekazując ich nazwiska serdecznej pamięci bratniej, inni zeszli z tego świata niewiadomo jakim sposobem, tak jak niewiadomo dla kogo i po co na nim żyli, a jeszcze innych zatrzymała jakaś żelazna konieczność i nie pozwoliła im wywiązać się z danego przyrzeczenia. A być też między nieobecnymi musieli i tacy, do których żal jakiś tajemny a głęboki na dnie wszystkich serc koleżeńskich pozostał, bo się ich imiona ani jednem echem nie odbiły o ponure ściany gmachu przylegającego do tej alei samotników. Oto macie rachunek cały!

Po pierwszych serdecznych, a bezładnych słowach powitania, po krótkim przeglądzie zebranych, zrobił ktoś uwagę, że z winy ostatnio przybyłych program dnia naruszony już był o godzinę z górą czasu, a więc po dwóch, po trzech pociągnęły te gromadki ku Ś-to Jańskiej katedrze, gdzie oczekiwał dawnych swoich uczniów stary już pod owe czasy, a dzisiaj przygarbiony mocno i zgrzybiały prefekt szkolny. A więc nowe powitania, odgadywanie w tych dojrzałych fizyonomiach mężkich, młodzieniaszków z przed dziesięcioletniej epoki, i znowu po wyjściu z kościoła odnaleziono się w biesiadnej sali, aby odświeżyć ducha wspomnieniami niepowrotnie minionej młodości i w serdecznym wylewie serc, wypowiedzieć dzieje pokolenia, jak mówi poeta.

Niczem prawie nie różniła się ta koleżeńska uczta od wszystkich, jej podobnych. Wystawmy sobie dużo zrazu różnorodnych wspomnień dzieciństwa i młodości, ochocze rozmowy w środku biesiady, hałaśliwszą nieco wesołość pod koniec; wśród tego kilka toastów takich jak: „Pamięci najgodniejszych z pomiędzy nas!” „Nasze koleżeńskie,” wreszcie owo nie starzejące się nigdy: „Kochajmy się!” a będziemy mieć w przybliżeniu wierny przebieg tej skromnej uroczystości, którą święcono odnalezienie się w życiu po dziesięciu latach i przyobiecywano sobie przyszłe, za lat dziesięć znowu, spotkanie w zmniejszonym z pewnością komplecie.

A teraz basta, basta panowie,
Niech każdy cicho usiędzie,
Dajcie gitarę, wino już w głowie,
Więc i piosenka wnet będzie.

Może myślicie, że po tem wszystkiem przyszła kolej i na piosenkę?

Bynajmniej! Nie do piosenki były jakoś te usta, nie uśmiechały się te oczy; trzydzieści lat mniej więcej na barkach dopiero niósł każdy z tych ludzi, a po uczcie łaknął spoczynku, jak gdyby mu szron głowę srebrzyć już zaczynał. Zmęczone to było jakieś przedwcześnie i nad wiek stateczne a poważne. Teraz oto porozbijali się na grupy i kółka i pytają wzajemnie o losy obecne; nie wybiegają po za teraźniejszość najbliższą. Przysiądźmy się do jednej takiej grupy i posłuchajmy o co tam chodzi tym sensatom trzydziestoletnim.

Ten oto, który mówi najgłośniej, a którego wszyscy słuchają chętnie, jak słuchali za dobrych szkolnych czasów, ten co przyniósł na to pierwsze koleżeńskie zebranie wcale pokaźny zarodek łysiny — to lekarz od lat trzech praktykujący. Nietylko szkolni, ale i uniwersyteccy koledzy uważali go zawsze za człowieka wielkich nadziei i wielkiej przyszłości; wedle tego co on sam zupełnie poważnie o sobie opowiada, jest on niedokończonem dziełem Bożem—jednostką, która wszystko co wie, zużytkowywa mylnie i nigdy niczego nie dokaże. Gdzieś mu się podziało, jak mówi, kilka lat z życia i teraz ich pogonić nie może, bo go odmieniono przez te lata doszczętnie. Zawzięcie spiera się on teraz z kolegą adwokatem o wartość akademickiego studyum wogóle, które jurysta pod niebiosa wynosi, a z którego lekarz, wedle tego co on sam utrzymuje, drwi sobie jak najzupełniej.

Ktoby ich po raz pierwszy widział dzisiaj, mógłby tego palestranta wziąć za entuzyastę, a tego łysiejącego młodego doktora za cynicznego sceptyka. Koledzy utrzymują, że jest wprost przeciwnie.

Spór się zaostrzał. Rozmiłowany w autorytetach swoich jurysta, zapytywał lekarza o jego dogmaty; lekarz w odpowiedzi ruszał ramionami, albo zaprzeczał ruchem głowy tak, że tamten doprowadzony do ostateczności zapytał sceptyka wprost:

— Więc tobie nic nie pozostawiły twoje studya?

— Owszem pozostawiły trochę metody, dużo wątpliwości i niezmierne zniechęcenie.

— Pryncypiów niewzruszonych żadnych?

— Wszystkie pryncypia są niewzruszone, dopóki ich kto nie ruszy. Od lada dotknięcia przenikliwszego umysłu osuwa się to wszystko jak gmach bez fundamentów.

— I cóż wy robicie?

— Łatamy, wiążemy gdzie się rwie, a sztukujemy tam gdzie nie starcza — zresztą wmawiamy w siebie i drugich mnóstwo rzeczy, w które nie wierzymy sami.

— A wasze środki?

— Jest ich kilka, ale kilka zaledwie.

— No, to i to już przecie coś.

— Zapewne, ale my mamy kilka, a stosujemy tysiące.

— To nie stosujcie.

— Dobry sobie jesteś. Nietylko wy przecież macie swoją procedurę.

— Oto widzisz, że przecież coś macie.

— Mamy, ale to także fundamentalne.

— Słuchaj dobry stary kolego. Nie byłeś ty nigdy słodki jak miód, ale dzisiaj jesteś gorzki jak piołun. My jednak w ten sposób rozmawiając nie dogadamy się niczego. To ogólniki same, które wymieniliśmy dotąd. Zamiast tego wszystkiego lepiej będzie mówić na przykładach. Otóż powiedz mi, czy zawiodła cię w twojej praktyce, aby jedna z wielkich zasad, którą w swoim czasie słyszałeś wygłaszaną z katedry.

— Zawiodła.

— I żałowałeś tego, że poszedłeś za tą zasadą?

— Ciężko żałowałem.

— Opowiedz nam to.

Poparto jednomyślnie wniosek, stolik przy którym siedzieli dyskutujący otoczyło całe niemal koleżeńskie zebranie, a młody lekarz taki opowiedział epizod z początków samych swojego zawodu:

* * *

Był to pierwszy rok mojej skromniutkiej praktyki. Pracowałem wiele, ale odpowiedzialności za te trudy nie mogę składać przed wami na natręctwo mojej klienteli. Szpital i książka zabierały mi cały niemal mój czas rozporządzalny; ano, trafił się też i pacyent jakiś jeden i drugi, bo i jakżeby bez tego obejść się mogło. Przyznać też muszę, że nie drożyłem się z moją osobą nadzwyczajnie; każdego kto zawitał w moje progi, załatwiałem jak umiałem i mogłem najlepiej, to znaczy, że starałem się gruntowną rozwagą zastąpić niebogate moje doświadczenie, a przez uprzejme obejście z chorym wynagrodzić niedostatek mojej lekarskiej wziętości.

Szło jakoś to życie, i gotów byłbym powiedzieć nawet, że szło wcale znośnie.

Raz, pamiętam, było to w Lutym u schyłku samego miesiąca, siedziałem sobie około północy wyciągnięty po sybarycku w moim wielkim fotelu i dumałem jak to dobrze, że ta szalejąca na dworze nawałnica śnieżna, nic mi w moim zacisznym kąciku dokuczyć nie może. Jak gdyby na przekorę usłyszałem odgłos dzwonka w moim przedpokoiku, a że ubogi, początkujący lekarz zadawalniać się musiał przychodnim służącym, który go co wieczór przyrządziwszy do herbaty, opuszczał, więc zerwawszy się pospiesznie, pobiegłem otworzyć.

Indywiduum wpuszczone, w którem więcej odgadłem, niż rozpoznałem kobietę, otrzepywało śnieg z chustki pokrywającej głowę, a ja domyślając się, że to jest ktoś wysłany po doktora, a nie sam chory bynajmniej, zrzucałem szlafrok i przygotowywałem się do wyjścia. Przez ten czas weszła i ta kobieta, mająca minę służącej, jeśli nie zamożnego to z pewnością uczciwego domu, a ja wdziewając palto i kalosze taką jednowyrazową prowadziłem inkwizycyą:

— Ktoś chory?

— Tak.

— Ciężko chory?

— Chyba ciężko bardzo.

— Mężczyzna? kobieta?

— Dziecko.

— Dawno?

— Będzie z tydzień pewnie.

— Doktór był?

— Chodził ciągle.

— A dziś?...

— Dziś już nie przyszedł.

To „już" znaczyło widocznie, że nie było po co przychodzić. Piękne to pole popisu dla początkującego doktora takie wezwanie o podpisanie paszportu. Przytłumiając płomień lampy na odchodnem, rzuciłem ostatnich kilka zapytań:

— Dziecko u rodziców?

— U dziadków.

— A rodzice?

— Nie żyją.

— Jedyne dziecko?

— Jej matka była jedna i ona jedna biedactwo — odpowiedziała służąca głosem przez łzy stłumionym.

Coraz lepiej — myślałem sobie wychodząc na wschody pod wpływem najgorszych przewidywań. Oprzytomniła mnie wprędce śnieżyca, z którą literalnie walkę staczać było potrzeba. Droga nie była daleka, ale mnie się wydało, że nie dojdziemy nigdy, tyle razy potrzeba było odwracać się twarzą od uraganu mroźnego dla złapania oddechu. Wreszcie dobiliśmy się do jakiegoś domu, którego nie znałem przedtem, a po kilkakrotnem dzwonieniu do bramy i dostaniu się do wnętrza, wprowadziła mnie przewodniczka moja na drugie piętro oficyny, do jakiegoś mieszkania, którego wygląd na pierwszy zaraz rzut oka tłómaczył i objaśniał dramat rodzinny, odgrywający się tutaj od tygodnia, jak mówiła służąca.

Bezład saloniku, do którego przeniesiono chore dziecko, wszystkie stoły zastawione bateryami słoików i flaszek, atmosfera dusząca, przepełniona wyziewami aptecznemi — oto wszystko, co uderzało wzrok i powonienie wchodzącego. A tam w rogu na wielkiem łóżku spoczywała w poduszkach jasnowłosa główka dziecięca, na której drżące ręce staruszki przytrzymywały kompres lodowy. Była jakaś jeszcze postać męzka w głębi pokoju, alem na nią nie zwrócił wchodząc bliższej uwagi zajęty całkowicie tem, po co przybyłem tutaj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WAKACYE.

Epoka, która na każdem polu działalności ludzkiej wywiesza hasło: „Zmniejszyć godziny pracy, a zwiększyć zarobki" szczególnem odznacza się niewyrozumieniem względem dzieci — względem tych właśnie członków swoich, którzy najbardziej na troskliwość i wyrozumienie zasługują.

Urzędnik administracyjny wogóle nie pozwala się w naszych czasach przeciążyć pracą, personel instytucyj finansowych i biór prywatnych bardzo jest dbały o to, aby godziny zajęć nie przedłużyły się ponad ustanowioną normę; wszędzie mniej więcej pracuje człowiek dojrzały od 5-ciu do 7 miu godzin dziennie, i chyba w jednychtylko warsztatach i fabrykach — chyba tylko rękodzielnik i wyrobnik dzienny zajęty jest na dobę przez czas jakichś 10-ciu do 12 tu godzin.

Tyle właśnie pracuje przez dzień nasze dziecko, jeśli mu liczyć będziemy czas przepędzony w szkole i ten, który ono na przygotowanie się do lekcyi jutrzejszej zmuszone jest poświęcić.

Jest to wiele, a nawet bardzo wiele.

Tymczasem zważywszy niezmierne utrudnienia, jakie spotyka dzisiaj jednostka na drodze uzdolnienia się do walki życiowej — zważywszy ten wyścig cywilizacyjny, którego jesteśmy świadkami i ofiarami zarazem; o zapobieżeniu nadużyciom sił młodych — o zmianie radykalnej na lepsze, marzyć nawet nie możemy. Wolno nam tylko obmyślać ulgi, zaradzać wyczerpnięciu przedwczesnemu dziecka—neutralizować twarde warunki naszego bytu.

Takim środkiem neutralizującym są wakacye.

Czy one powinny być na raz jeden tak długie jak dzisiaj, czy przeciwnie wypoczynek ma być częstszy a krótszy i w jaki sposób ma dziecko korzystać z wakacyj, to jest czy umysł jego ma ugorować zupełnie albo częściowo, są to już wszystko kwestye drugorzędne, a faktem niezbitym — pewnikiem niepodlegającym wątpliwości jest to jedno, że dziecku bardziej niż komukolwiek należy się wypoczynek, świeże powietrze i wszystkie dobrodziejstwa, których doświadczamy w zetknięciu blizkiem i codziennem z naturą.

W tym duchu przemawia jedno z pism, które zagadnienia tego rodzaju uważa za swoją specyalność. Powiada ono w dalszym ciągu, że wszystkim bez wyjątku dzieciom należą się podczas wakacyj pieszczoty matki-przyrody, a tymczasem z pomiędzy dzieci rodziców miejskich niezamożnych, o ile te nie są wczesnymi przestępcami i nie wyjednają sobie przez to przytułku w przytułkach karnych, o ile dziecko takie nie wyciągnie losu do kolonij letnich, albo nie skorzysta z jakiejś wyjątkowej a rzadko trafiającej się sposobności, musi ono wegetować w zaduchu miejskim przez letnie miesiące tak samo jak wegetowało przez zimowe.

Zachód ma pod tym względem dzisiaj już swoją zupełną organizacyą. Okolica najbliższa rozbiera pomiędzy siebie uczniów szkoły miejskiej, kolonie letnie mają sieć swoją na całym obszarze państwa, i tym sposobem jak kraj szeroki i długi powstają prawdziwe wakacye letnie całego społeczeństwa. Takie też a nie inne jest zadanie wsi w organizmie społecznym.

Dajmy na to, że ma wieś i wiele innych jeszcze zadań oprócz tego, ale nie w tem miejscu mowa o tem być może.

Co do nas, mamy niby to wszystko, ale w stopniu bardzo niedostatecznym, a tymczasem społeczeństwo zdobyć się na to powinno koniecznie, jeśli dzieciom swoim, jak mówił Waskowski stary, winno ono dużo miłości a mało morałów, i ztąd właśnie u nas ten obowiązek, który obciąża każdą Maryą Połaniecką i każdego Stanisława Połanieckiego — ztąd zadania jakie ma do spełnienia każdy Krzemień i każda Złota Wólka.

Ano niby tak to jest w samej rzeczy, i przeciwko temu nic powiedzieć nie można, ale jeżeli nie powie się nic przeciw, za to o całej sprawie słów kilka powiedzieć koniecznie wypada.

A najprzód ponieważ realności takie jak Krzemień i Złota Wólka nie leżą w chmurach i obłokach, ale tą integralną częścią powierzchni tutejszej, dzielą jej losy i pomyślność, więc z tego niby tytułu nadmierną ilością dodatkowego obowiązku społecznego obarczać ich chyba nie można, bo z tego Krzemienia wiele iskier już pod tę chwilę nie wykrzesze, a ta Złota Wólka od bardzo dawna złotą być przestała. Tam gdzie się do gruntu zmieniły warunki bytu, tam się zmienić musiały zwyczaje, gotowość i pojęcia o gościnności, a przytem Krzemień i Złota Wólka od bardzo dawna mają sobie powtarzanem aż do przesytu, że ich znaczenie w organizmie społecznym niczem się nie różni od znaczenia pierwszego lepszego stosu cegieł ułożonych w kamienicę miejską. Ztąd imputowanie im wszelkich missyj wyższych tak sobie ni ztąd ni zowąd, a raczej w chwili potrzeby, może im się wydać bardzo pochlebnem, ale zastaje je w każdym razie mocno zdziwione i mało przygotowane.

Jeżeli zaś mamy mówić o osobach, zamiast posługiwać się nazwiskami ich realności, to musimy powtórzyć to samo prawie wszystko z bardzo małemi jedynie zmianami.

I tak: wszelka pani Marya Połaniecka, jako istota bierna, ograniczona — jako kobieta obowiązku jednem słowem (jak nas uczy krytyka pewnego odcienia), była i jest skłonną do obarczenia się wszelkim względem dzieci cudzych obowiązkiem, bo ona ma to już we krwi, bo ją do tego popychają wszystkie wrodzone skłonności i popędy.

Więc pomimo, że czyta ciągle o zwyrodnieniu jej dzieci własnych, pomimo, że ją i jej najbliższych karmią od lat wielu tą jedną tylko strawą, z wszelkiemi paniami Połanieckiemi można by to załatwić jeszcze, bo w tych sercach na zawziętość i odwet miejsca nie było i nie ma.

Za to trudniej nieco z panami Połanieckimi, od jakiegoś już czasu, bo ci wiedzą dobrze, co warte w pewnych chwilach kokietowanie, którego odwrotną stronę stanowi zacięta, nieprzebłagana i wcale nie milknąca nienawiść stronnicza, co znaczy rozdział trwały, wykopany między warstwami naszej społeczności, i jak niebezpiecznem dla ich dziecka własnego jest przebywanie ciągłe w tej zatrutej atmosferze zawziętości stanowej. Dlatego nie należy się dziwić wszelkiemu Połanieckiemu, że mniej pochopnym on jest do przygarniania bez wyboru w imię solidarności społecznej różnorodnych żywiołów, między którymi tyle jest zrodzonych i wykarmionych doktryną antyspołeczną i antyswojską—że przeciwnie czas wakacyjny przeznaczyćby on rad dla własnego syna na odetchnięcie czystą atmosferą domu, na obmycie jego ducha z wyziewów i naleciałości moralnych, tak jak oczyszcza się jego fizyczny organizm z miazmatów, którymi przesiąkł w zetknięciu z wyziewem miejskim współczesnym.

To jest smutne — bardzo smutne to rozdwojenie i ten rozdział; wchodzimy w to — czujemy i ubolewamy nad tem szczerze. Ale on jest, i niechaj zań odpowiadają ci, którzy go stworzyli — którzy tego rozdwojenia i dzisiaj w dalszym ciągu pogłębiać nie przestają.

Jeżeli tedy widzimy, że się Połanieccy niezbyt ochoczo do tego dzieła miłości zabierają, to wolno nam przypominać im to i nasuwać, ale ich strofować za to nie mamy prawa — żadnego prawa.

K.

Domy dla kobiet niezamężnych.

Na zachodzie Europy i za oceanem, gdzie z każdym rokiem zwiększa się liczba kobiet zmuszonych myśleć o sobie i żyć samoistnie, mnożą się odpowiednio środki i sposoby, ułatwiające byt tych wykolejonych, odsądzonych, czy jak tam wreszcie nazwać kto zechce kobietę niezamężną lub owdowiałą. Że warunki takiego bytu są wogóle trudne, że kobieta pozostawiona samej sobie, na tysiączne w życiu natrafia przeszkody, których nie doświadcza w życiu mężczyzna nieżonaty, zbytecznem byłoby udowadniać. I zdobycie niezależności materyalnej, i konieczność zadosyćuczynienia względom towarzyskiej przyzwoitości — wszystko obciąża i komplikuje położenie kobiety do tego stopnia, że bez tych dobrodziejstw jakie zapewnić może stowarzyszenie, los jednostek takich jest prawdziwie godnym pożałowania. Tylko stowarzyszenie daje rękojmię znalezienia pracy, tylko ono proteguje, osłania i zabezpiecza. Dlatego w kraju, gdzie ten niewieści celibat wytwarza się już od jakiegoś czasu i z rokiem każdym zwiększa, powstały domy niewieście, nietylko różniące się od prywatnych mieszkań, hoteli, i tak zwanych meblowanych pokojów, ale właśnie dla tej wyłączności swojej zupełnie odpowiadające potrzebom, jakich wymaga wyjątkowe w społeczności położenie kobiety niezamężnej. O tego rodzaju instytucyach w Stanach Zjednoczonych, pomimo, że jest ich tam liczebnie biorąc najwięcej, i że doszły one tam do wyższego niż w Europie udoskonalenia, mówić nie będziemy w tem sprawozdaniu. Wogóle zbyt różne są amerykańskie stosunki od naszych, iżbyśmy ztamtąd cośkolwiek dla swego użytku przystosować mogli. Natomiast krótka o domach niewieścich w Anglii wzmianka należy się zdaniem naszem czytelniczkom Tygodnika, bo to już bliższe nas — nie takie odmienne i obce, jak wszystko, co z za oceanu pochodzi.

Angielski duch asocyacyjny umie przytem tyle korzyści wyciągnąć z każdego stowarzyszenia, że wszystko, czego tam dokonano, za pouczające w wysokim stopniu uważają świadomi rzeczy.

Pierwszy dom kobiecy w Anglii stanął staraniem i kapitałem Amerykanina. Nazwisko tego człowieka: sir Curtis Lampson. Po nim dopiero przyszła kolej na siły miejscowe, a umożebniła te usiłowania wielka obfitość i taniość kapitału w Anglii. Tam gdzie chodzi przedewszystkiem o zapewnienie możliwego dobrobytu i komfortu kobietom żyjącym z owoców własnej pracy, tam o zyskach na podobnych przedsiebiorstwach myśleć nie wolno. Trzy od sta rocznie a nawet $2^1/_2$ procent, jak to ma miejsce w jednym z takich zakładów, oto procenty, jakie dać może prowadzenie domu kobiecego.

Do takich domów na skromnej stopie postawionych należy wzniesiony przed 12 laty Oakley-Flats. Ceny są tam nizkie bardzo, lokatorki żyją każda u siebie, a sal jadalnych wspólnych i sal dla zgromadzeń towarzyskich nie ma tam wcale. Natomiast takiż dom położony przy Chenies-Street, inny noszący nazwę: Ladies Residential Chambers Company, przeznaczone już są dla zamożniejszych mieszkanek, a ten który ufundowało przedsiębiorstwo: Ladies-Dwelling Company przy Stoaue Gardens, ma wygody wszelkie zapewnione i komfort, do którego mają prawo tylko zamożne kobiety. Ceny są tam różne poczynając od 5 szyllingów tygodniowo za dwa pokoje, aż do 5 funtów za trzy pokoje miesięcznie. Regulamin tej instytucyi jest dosyć ścisły i nader szczegółowy, a ścieśniający wolność osobistą lokatorek. Nie wolno naprzykład żadnej z nich grywać na fortepianie dłużej jak przez godzin trzy dziennie, nie wolno prowadzić kuchni dającej jakiekolwiek wyziewy; trzeba utrzymywać pościel w stanie przepisanej czystości, a buciki lokatorek nie mogą być werniksowane w przedsionku. Kominy na koszt lokatorek poleca administracya czyścić raz na rok, a okna są myte na ich koszt również, co miesiąc raz. Ptakom i psom pobyt wzbroniony stanowczo, a co do psów raz jeden tylko zrobiono wyjątek dla lokatorki głuchej zupełnie, która potrzebowała tego stróża domowego, aby ją ostrzegał o odgłosie dzwonka w jej przedpokoju.

Co do swobodnego wychodzenia i powrotu lokatorek, to są ono dzisiaj dowolne bezwarunkowo, nie były jednak takiemi w samych początkach założenia instytucyi. W Anglii rachowali się zawsze i rachują do tej pory ze wszystkiem co wchodzi w zakres, tak nazywanej ogólnym terminem: respectability, dlatego regulamin określił godzinę powrotu najpóźniej na godzinę 10 wieczorem. Nie było od tego drakońskiego prawa wyjątków żadnych, a młodej dziewczynie przybyłej od niedawna ze wsi, która pewnego razu żądała klucza idąc w towarzystwie znajomej sobie rodziny do teatru, odpowiedziano odmownie, przypominając jej dobitnie, że dom w którym mieszka jest „respectable."

Ta szanowność domu, jeśli ma nam być wolno w ten sposób ją na nasz język przełożyć, poprowadziła instytucyą na manowce, bo z jednej strony chciano ocalić zasadę — z drugiej mnożyły się żądania wyjątkowe, a więc zrobiono portiera rodzajem nadzorcy, co nie tylko, że było ubliżającem bezpośrednio, ale i pociągało za sobą monopole i zdzierstwa tego domowego cerbera.

Nareszcie zdecydowano się na ofiarowanie każdej z lokatorek klucza, a pomimo tej swobody dom pozostał respectable w tym samym stopniu w jakim był dawniej. Nie trafiło się tam nigdy odtąd nadużycie żadne, jak twierdzi w „Scribners Magazine" miss Mary Gay Humphreys, a my nie wahamy się tego powtórzyć, bo i nie ma żadnej dobrej przyczyny odmawiania wiarogodności tym zapewnieniom. Nie przyjmują tam z pewnością bez rekomendacyi, więc do ścieśnień i ograniczeń uciekać się, byłaby to tylko czcza i zbyteczna zupełnie formalistyka.

Obchodzą w tych domach jednak od czasu do czasu i wesela niektórych lokatorek i jak zapewniają, bardzo mile są widziane tego rodzaju uroczystości, co wreszcie jest naturalnem zupełnie, boć to przecież nie żadna wroga rodzajowi męzkiemu sekta zamieszkuje to schronienie, ale kobiety, którym z najrozmaitszych pobudek zapewne nie sądzony był stan małżeński.

Obecnie przybywa ciągle w Anglii tych domów schronienia dla kobiet niezamężnych. Jednym z pierwszorzędnych, który stanął w ostatnich czasach jest t. zw. „The Writers," którego prezydującą jest księżna Krystyna, a dyrektorką lady Jenner. Drugi takiż przybytek niewieści nosi miano „The Pioneer." Urządzony zbytkownie, ma przyjęcia tygodniowe we Wtorki i Czwartki, na których bywać wolno mężczyznom.

Najbardziej zachowawczym i najściślej zamkniętym jest klub kobiecy „Alexandra" na „Grosvennoor street." Mężczyzna nie ukazuje się tam, chyba w czasie pożaru.

Są nakoniec domy, do których przyjęcie uwarunkowanem jest przez złożenie bachalaureatu i który dlatego składa się tylko z byłych uczennic Newham, Girton i Londyńskich zakładów naukowych.

Czy u nas rychło już okaże się konieczność instytucyj podobnych, przesądzać nie chcemy. Wątpliwości jednak nie podlega, że przy dzisiejszej dążności do poszukiwania zarobków w Warszawie, nawet przez kobiety bardzo odległe zakątki kraju zamieszkujące, jakiś zarodek takiego domu z odpowiedniemi gwarancyami materyalnemi, a nadewszystko moralnemi, dziś już byłby bardzo pożądanym. Nie możemy jednak marzyć o tem, aby nam podobną ofertę zrobił kapitał sam z siebie, bo u nas kapitałów na 3 albo 4 procenty do tej pory niema, a nawet nie można przewidywać, aby się ukazać miały w blizkiej przyszłości. Ofiarność prywatna, dary kobiet możnych, którym serce żywiej uderza na widok każdej młodości szamocącej się przy poszukiwaniu zarobku z tak wielkiemi trudnościami i niebezpieczeństwami, jak to miewa miejsce w Warszawie, powinnyby w każdym razie położyć fundament pod tego rodzaju instytucyą i u nas także.

K.

Z Akademii francuzkiej.

Wspominaliśmy w czasie ostatnich wyborów do tej instytucyi o nieprzezwyciężonych przeszkodach, jakie za każdym razem spotykała kandydatura Emila Zoli na członka tego ciała naukowego. Obecnie pod datą 28 Maja odbywały się znowu wybory takie z powodu opróżnienia dwóch krzeseł akademickich, mianowicie po Pasteurze i Dumasie. Emil Zola jak zwykle stanął jako kandydat razem z innymi, a w szczególności z Gastonem Paris, Barboux, Becque, Janem Aicard i baronem Saint-Amand.

Horoskop jaki stawiano tym wyborom był taki, że Akademia nie chcąc wybrać Zoli, odroczy wybory na sześć miesięcy.

Przed 4-ma laty kiedy po śmierci admirała Jurien de la Gravière, Zola także stawiał swoją kandydaturę, a świat paryzki zaciekawiony był w najwyższym stopniu, czy Zola przejdzie, czy upadnie w tem ballotowaniu, odniósł się jeden ze znanych publicystów do Aleksandra Dumas'a w tej kwestyi listownie, i oto odpowiedź jaką otrzymał:

„Nie wiem, czy postawiłeś pan któremukolwiek z kolegów moich pytanie, którem mnie zaszczycasz obecnie, ale jeśli to zrobiłeś, to z pewnością otrzymałeś odpowiedź taką identycznie, jaką ja daje w tej chwili, a mianowicie: że żaden z nad odpowiedzieć nie może. Nie jest u nas we zwyczaju dopytywać się wzajemnie, za kim daje głos który z nas, bo tego zabraniają nam prawidła najprostszej przyzwoitości. A przytem gdyby którykolwiek z członków wyjawił publicznie, za kim głosować zamierza, już przez to samo utraciłby prawo dania swojego votum. Co się

tyczy publiczności, to nie czujemy się obowiązani do dawania jej jakichkolwiek wyjaśnień. Jesteśmy w Akademii u siebie—robimy co chcemy i co robić powinniśmy, a przytem nikt z nas nie odważyłby się przemawiać w imieniu całej Akademii. Opinie nasze są najściślej indywidualne; możemy mieć życzenia swoje przed wyborem, ale o rezultacie ostatecznym nikt nie ośmieliłby się przesądzać, ani krytykować tego rezultatu. Dlatego każdy przybywający kolega jest zawsze mile widzianym.

„Racz pan przyjąć i t. d.

A. D."

Zapytany w tej samej sprawie Sardou odpowiedział wówczas w tonie jeszcze bardziej stanowczym i ostrzejszym o wiele niż Dumas. Oto kilka słów z tej wielkiej wysokości rzuconych.

„Nie mam nic do odpowiedzenia na tego rodzaju indagacye.

S."

Jak powiadają, zmieniły się nieco od tej pory zwyczaje w Akademii francuzkiej. Przed tymi ostatnimi wyborami mniej podobno było rygoru; na korytarzach rozmawiano głośno, wymieniano myśli i zapatrywania, a pomimo to wszystko dla Zoli rezultat jeszcze nie zdecydowany.

Po Pasteurze zajął krzesło Gaston Paris.

Po Dumasie walka między Barboux i Zolą nie rozstrzygnęła się stanowczo. Po ośmiokrotnem głosowaniu, gdy żaden z dwóch kandydatów nie uzyskał wymaganej większości i wybór odroczono do dalszych czasów.

α.

TO I OWO.

✱ Pisma angielskie opowiadają, że niespodzianie zupełnie obudził się wśród tamtejszej młodzieży dorastającej żeńskiej, jakiś duch samarytański, którego dotąd uprzywilejowanem siedliskiem nie była Anglia bynajmniej. Młode panny wszelkich stanów i warstw towarzyskich, poczynając od najniższej, a na zupełnie arystokratycznej skończywszy, zarzucają ofertami swojemi zarządy rozmaitych szpitali i przytułków. Panie opiekunki i protektorki tych instytucyj nie wiedzą literalnie co robić z tą ofiarnością, bo ostatecznie okazuje się dziesięć razy więcej kandydatek na dozorczynie chorych, niż tego rodzaju posad wakujących. Większość stanowią pensyonarki zupełnie nieukwalifikowane do tak ciężkiego obowiązku, i nareszcie przychodzą wszyscy powoli do przekonania, że motorem tego szczególnego rodzaju wyścigu jest kaprys, moda, ciekawość, chciwość wrażeń — wszystko jednem słowem oprócz chrześciańskiego miłosierdzia i ducha ofiary, których pretendentki na siostry miłosierdzia nie zdradzają bynajmniej przy pierwszych, wstępnych oględzinach.

Po za tym nowym zastępem, którego pomoc doświadczeni przewodniczący szpitali summarycznie odrzucają, brak istotnych pielęgnujących choroby i niemoc ludzką, okazuje się bardzo dotkliwie.

✱ Jak zapewnia petersburski „Kraj" dyrektor szkoły sztuk pięknych w Krakowie p. Juliusz Fałat, zaprzeczył wiadomości podanej przez pisma warszawskie, a opiewającej, jakoby żądanie kobiet domagających się przyjęcia do tej szkoły, rozstrzygniętem być miało twierdząco. Dotychczas, według pana Fałata, nic jeszcze nie postanowiono pod tym względem decydującego.

✱ „Fremdenblatt" donosi, że do prezesa Ministeryum austryackiego hr. Badeni'ego, zgłosiła się deputacya kobiet i wręczyła mu zbiorową petycyą, uchwaloną na wielkim wiecu niewieścim w Austryi. Deputacyą składały Marya della Grazie literatka, Marya Hainsch i dwie nauczycielki, których nazwisk gazeta wiedeńska nie przytacza. Petycya domaga się przyznania kobiecie austryackiej praw wyborczych. Pierwszy minister miał podobno oświadczyć, że w zasadzie nic zadosyćuczynieniu tej prośbie na przeszkodzie nie stoi, ale w każdym razie rzecz będzie mogła przyjść pod rozpoznanie w dalszej dopiero przyszłości. Idzie też tu, zdaniem hrabiego Badeniego nie o zmianę prawa wyborczego, a o jego rozszerzenie tylko, albowiem już teraz kobiety w kuryi większej własności i izb handlowych głosują za pośrednictwem pełnomocników. Za podstawę muszą być wzięte w każdym razie albo prawa majątkowe kobiety, albo jej stopień wykształcenia. To wszystko rozumie się w owej dalszej przyszłości, która jako termin pozostawia domysłom pole dosyć szerokie.

✱ Cyklon, który się srożył w dniu 24 Maja w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zrządził w ludziach i ich mieniu kolosalne straty. Szpitale przepełnione są rannymi mniej lub więcej ciężko, zabitych liczy samo miasto Saint-Louis 1,000 zgórą, a okolica najbliższa 300.

Ciągle wydobywają ofiary katastrofy z pod gruzów gmachów, i spodziewają się jeszcze wielu smutnych odkryć, bo dużo jest dotąd zaginionych bez śladu. Hotele, fabryki, wielkie magazyny zbożowe, część gmachu więziennego — wszystko to w ruinie. Katastrofa nie ograniczyła się do spustoszeń na lądzie, wszystkie bowiem statki stojące na kotwicy w porcie, transportowe, pasażerskie i spacerowe, pochłonęło morze. Cyklon nawiedził St.-Louis o godzinie 5 i pół po południu i trwał całe pół godziny.

✱ Wyprawa do bieguna południowego organizuje się w Belgii. Dotychczas tylko wśród publiczności agitują za projektem, ale zainteresowanie musi być żywe, skoro kupcy naprzykład deklarują ustąpić na rzecz przedsięwzięcia 20 na 100 z summ utargowanych w ciągu dni trzech. Swoją drogą robią się i odpowiednie starania, aby rząd zainteresował się tą sprawą i użyczył jej czynnego poparcia.

✱ D-r Salomon z Essling po zbadaniu archiwów swojego kraju przekonał się, że bezpieczeństwo osobiste lekarza wzrasta z każdem stuleciem. W 16-ym wieku przeciętny wiek lekarza stanowiło 36 lat i 5 miesięcy—w 17-ym 45 lat i 8 miesięcy — w 18-tym 49 lat i 8 miesięcy — w 19 tym 58 lat i 5 miesięcy. Wedle d-ra Salomona zmniejszanie takie śmiertelności między lekarzami zawdzięczają ci ostatni środkom profilaktycznym, a niemniej zmniejszaniu się gorączki tyfoidalnej i ospy.

✱ Alkoholizm w Belgii robi zatrważające prawdziwie postępy. Na 6 milionów ludności posiada Belgia nieprawdopodobną cyfrę 155-ciu tysięcy wszelkiego rodzaju szynków, a zatem Francya tak osławiona pod względem niewstrzemięźliwości, ma ich jednak w stosunku do ludności swojej połowę tylko.

Belgia poświęca 130 milionów rocznie na przywóz alkoholu, a dzienny wydatek na ten surrogat razem z tem, co produkuje kraj wynosi 1,300,000 franków, to jest blizko pół miliarda franków rocznie.

Wielce charakterystycznem jest, że to nieszczęście w ostatnich dopiero czasach wzrastać zaczęło tak przerażająco w Belgii. Od roku 1871 do 1881 konsumcya alkoholu podwoiła się, a w peryodzie od 1873 do 1876, gdy zarobki ludności wzrosły o 600 milionów franków rocznie, konsumcya alkoholu wzrosła jednocześnie o 416 milionów, co znaczy, że $^2/_3$ całej zwyżki zarobków pochłonęło pijaństwo.

Statystyka śmiertelności po szpitalach podaje liczbę ofiar alkoholizmu na 25 tysięcy rocznie, a wogóle z całej śmiertelności szpitalnej 80 procent stanowią alkoholicy, rozumie się pośród ludności męzkiej.

W roku 1889 na 1-go mieszkańca przeciętnego w Belgii wypadało alkoholu $4^1/_4$ litra, 1895 okazało się iż wypada 12 litrów.

Podatek od spirytusu jest w Belgii najniższym z całej Europy podobno.

W każdym razie mają sobie czem zaprzątać głowę prawodawcy tego kraju, bo jużcić chyba dalszy jeszcze postęp w tym kierunku jest już niepodobnym.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Мая 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**